

Javier
Marías

TWOJA
TWARZ
JUTRO

Trucizna, cień
i pożegnanie

fragment

Z języka hiszpańskiego przełożyła
Ewa Zaleska



WYDAWNICTWO
SONIA DRAGA

V

~ TRUCIZNA ~

Wprawdzie nie jest to naszym pragnieniem, ale zawsze wolimy, żeby śmierć spotkała tego innego obok nas w trakcie wykonywania jakiejś misji albo na polu bitwy, w lotniczym rajdzie albo wskutek bombardowania, albo w okopie, gdy były jeszcze okopy, albo w ulicznym napadzie lub podczas włamania do sklepu albo porwania turystów, w trzęsieniu ziemi, eksplozji, zamachu, w pożarze, wszystko jedno, czy jest to przyjaciel, brat, ojciec, a nawet nasze dziecko. A także ukochana, tak, ona również, byle nie my. Wszystkie sytuacje, w których ktoś kogoś osłania własnym ciałem albo staje na linii strzału lub ciosu noża, należą do nadzwyczajnych wyjątków, dlatego się o nich mówi, w dodatku w większości są zmyślane, zdarzają się w powieściach i w filmach. Te nieliczne prawdziwe przypadki to bezwiedne odruchy albo zachowania podyktowane resztką poczucia przyzwoitości, reakcją dziś coraz rzadszą; ciągle są ludzie, którzy nie potrafią znieść, że ich dziecko albo ukochana osoba odchodzi z tego świata, pomyślą sobie w ostatniej chwili, że oni nie zapobiegli ich śmierci, nie poświęcili się, nie oddali za nich swego życia, jakby im w głowie tkwiła zakodowana jakaś hierarchia

życia, powoli coraz bardziej staroświecka i zanikająca: dzieci bardziej niż kobiety zasługują na to, by żyć, kobiety bardziej niż mężczyźni, a ci z kolei bardziej niż starcy, jakoś tak, tak to było dawniej i ta staromodna rycerskość trwa wśród topniejącej zbiorowości ludzi nadal wierzących w przyzwoitość, co jak się dobrze przyjrzeć, jest dość absurdalne, bo na dobrą sprawę jakie ma znaczenie ostatnia myśl, żal lub rozczarowanie żywione przez kogoś, kto w chwilę później jest już martwy, niezdolny do tego, by coś znowu pomyśleć, przeżyć kolejne rozczarowanie czy żal? To prawda, są jeszcze nieliczni, którzy żywią takie głęboko utrwalone przekonanie i którym na tym zależy, w gruncie rzeczy działają tak przez wzgląd na tego, kogo ratują jako świadka, chcą dobrze wypaść w jej albo w jego oczach i zaskarbić sobie wieczny podziw i wdzięczność; w tym decydującym momencie nie mają świadomości, albo nie mają jej w pełni, że nigdy nie nacieszą się tym podziwem ani tą wdzięcznością, bo w chwilę później sami będą już martwi.

Podczas gdy on mówił, mnie przyszło na myśl trudne do zrozumienia, a może nawet całkowicie nieprzetłumaczalne wyrażenie, którego nie wypowiedziałem od razu na głos właśnie dlatego, że wyjaśnienie go Tuprze zabrałoby mi dobrą chwilę. My nazywamy to niesławą toreadora, pomyślałem sobie, i zaraz potem: Wiadomo, toreadorzy mają całe mnóstwo świadków, pełne trybuny plus czasem miliony widzów, łatwiej zrozumieć, że mówią sobie: „Prędzej wyniosą mnie stąd z rozszarpaną tętnicą udową, prędzej wyniosą stąd mojego trupa, niż stchórzę na oczach tylu ludzi, by zawsze opowiadali o tym bez końca”. Ci toreadorzy boją się jak ognia horroru narracyjnego, tego ostatniego fałszywego kroku, który ich naznaczy, dla nich naprawdę liczy się to, jak skończą, podobnie jak dla Dicka Dearlove’a i dla każdej, jak sądzę, znanej osoby, której życie śledzą wszyscy na

każdym jego etapie lub każdy jego rozdział aż do finalnego rozwiązania, ono bowiem ostatecznie całą tę historię określa albo nadaje jej niesprawiedliwe i nieprawdziwe znaczenie. Potem nie wytrzymałem i powiedziałem to głośno, przerywając na krótko Tuprze. Był to jednak przyczynek do tego, co mówił, i w jakimś sensie sposób na zamarkowanie rozmowy:

– Po hiszpańsku nazywamy to *vergüenza torera*. – Powiedziałem te dwa słowa po hiszpańsku, po czym je przetłumaczyłem: – *Bullfighter's shame* w dosłownym znaczeniu albo *sense of shame*. Kiedy indziej ci wytłumaczę, na czym to polega, bo nie macie tu toreadorów. – Ale wtedy wcale nie byłem pewien, czy będzie jakieś kiedy indziej. Jakiś dzień dłużej u jego boku, choćby jeden.

– Dobrze, tylko nie zapomnij. Istotnie, nie mamy tu toreadorów. – Tuprę zawsze bardzo ciekawiły idiomy mojego języka, które od czasu do czasu mu objaśniałem, gdy akurat miały coś do rzeczy albo były szczególnie niezwykłe. Teraz jednak to on mi coś wyjaśniał (wiedziałem już, dokąd zmierza, zarówno on, jak i ta obrana przez niego droga wzbudzały moje zaciekawienie, chociaż przewidywałem, że w końcu ogarnie mnie uczucie odrazy), podjął więc na nowo: – Od czegoś takiego do przyzwolenia na czyjąś śmierć, byle tylko samemu się uratować, jest tylko krok, tylko krok do zabiegania o to, by to ten inny umarł zamiast nas, a nawet do tego, by spowodować tę śmierć (sam wiesz, albo on, albo ja), kolejny maleńki krok, i oba te kroki stawia się z łatwością, przede wszystkim ten pierwszy, niemal każdy go stawia w sytuacji ekstremalnej. Jak inaczej wytłumaczyć fakt, że gdy wybucha pożar w teatrze albo dyskotecce, to więcej ludzi jest stratowanych niż spalonych lub zaczadzonych, gdy statek idzie na dno, są tacy, którzy spuszczają szalupę na wodę, nie czekając, aż zapełni się ludźmi, byle tylko im uda-

ło się w niej znaleźć bez dodatkowego balastu, albo dlaczego istnieje wyrażenie „Ratuj się kto może” ilustrujące brak jakiegokolwiek względu na innych i przywracające prawo dżungli, które wszyscy jakoś w sposób naturalny i bez chwili namysłu akceptujemy, choćbyśmy wcześniej przeżyli pół życia, wyrzekając się takiego rozumowania i mając swoje odruchy pod kontrolą? Prawda jest taka, że zadajemy sobie gwałt, by tego prawa nie stosować i nie czynić go normą bez względu na okoliczności, a przecież i tak stosujemy je dużo częściej, niż jesteśmy gotowi przyznać, tyle że ukradkiem, maskując to cienką warstwą cywilizowanych manier albo ukrywając pod płaszczykiem innych, bardziej szacownych praw i regulacji, wolniej, nie wprost i rozkładając to na etapy, wszystko jest bardziej pracochłonne, ale w gruncie rzeczy właśnie prawo dżungli rządzi, ono dzierży władzę. Tak jest, sam się zastanów. W stosunkach między ludźmi i między narodami.

Tupra użył angielskiego odpowiednika zwrotu „Ratuj się kto może” w którym kryje się jeszcze większa bezwzględność: *Every man for himself*, czyli „każdy sobie” albo „każdy sobie rękę skrobie”: niech każdy ratuje własną skórę i myśli wyłącznie o sobie, inni zaś, ci słabsi, powolniejsi, bardziej naiwni i głupsi (także poczuwający się do opieki nad innymi, jak mój syn Guillermo), niech przepadną. Wtedy można bezkarnie pozwolić sobie na popychanie i traktowanie innych, na torowanie sobie drogi kopniakami albo na rozłupanie głowy wiosłem biedakowi, który czepia się naszej łodzi, gdy ona już zsuwa się na wodę z nami i z resztą naszych w środku i dla nikogo więcej nie ma miejsca, wcale nie chcemy dzielić się nim z innymi i ryzykować, że łódź się wywróci. Sytuacje mogą być różne, lecz ten władczy głos mówi to, co inne głosy nakazujące strzelać, mordować do woli i rzucać się do bezładnego odwrotu, masowej ucieczki; głos, któ-

ry każe strzelać na pewniaka, z bliska i w kogo popadnie, do każdego, kogo się zobaczy i wytropi, głos, który nakazuje wbić bagnet albo nóż, nie brać jeńców ani nikogo nie pozostawić przy życiu („Bez litości”, tak brzmi rozkaz, albo jeszcze gorzej: „Zlikwidować”) i wreszcie głos, który nakazuje uciekać w popłochu, bez ładu i składu, *pêle-mêle* mówi się po francusku albo *pell-mell* po angielsku, czyli na łeb na szyję, pospiesznie, w rozproszonym szyku; wszyscy żołnierze uciekają w jednym kierunku, gdy nie ma tylu dróg ucieczki, żeby mogli się rozdzielić, każdy kieruje się tylko instynktem przetrwania obojętny na los swoich towarzyszy, oni już się nie liczą, nie są już w istocie towarzyszami, choćbyśmy wszyscy nadal byli w mundurach i czuli w końcu ten sam strach podczas wspólnej ucieczki.

Przyglądałem się Tuprze w świetle lamp i w blasku ognia, ten ostatni nadawał jego cerze bardziej miedziany koloryt niż zwykle, jakby miał w sobie krew amerykańskich Indian – przyszło mi wtedy do głowy, że ma usta Siuksa – nie tyle była koloru piwa, ile raczej whisky. Nie dotarł jeszcze do celu, dopiero rozpoczął swoją drogę i nie będzie zwlekał, na pewno wcześniej czy później znowu mnie zapyta: „Dlaczego nie można?”, „Dlaczego, jak powiedziałeś, nie można bić ludzi ani ich zabijać?”. A ja nadal nie miałem na to dobrej odpowiedzi, takiej nadającej się dla niego, nadal musiałem zastanawiać się nad czymś, nad czym nigdy się nie zastanawiamy, bo przyjmujemy to za oczywiste, czyli niezmiennie i znane, i pewne. Odpowiedzi chodzące mi po głowie nadawały się dla większości ludzi, każdy mógłby ich udzielić, ale nie nadawały się dla Reresby’ego, wciąż jeszcze mógł być Reresbym albo zawsze nim był i zawsze był wszystkimi naraz, Urem i Dundasem, i Reresbym, i Tuprą, i kto wie iloma jeszcze osobami w swoim burzliwym życiu w tylu różnych miejscach, choć teraz to życie wydawało się ustabilizowane. Z pewnością jego imię jest Legion i nie pamięta ich wszystkich od pierwszego

do ostatniego, ludzie, którzy gromadzą tyle doświadczeń, zapominają zazwyczaj, co kiedy zrobili. Nie ma w nich nawet śladu tych, kim byli wtedy, tak jakby nigdy tacy nie byli.

– Są też ludzie, którzy w takich sytuacjach przychodzą z pomocą – wspomniałem niezobowiązująco. – Są tacy, którzy pomagają drugiemu wejść do łodzi albo uratują innego z pożaru, narażając własne życie. Nie każdy ucieka w popłochu, byle tylko ocalić własną skórę. Nie wszyscy zostawiają nieznanym na łasce losu.

I moje spojrzenie zastygło na płonących szczapach. Kiedy przyjechaliśmy, w kominku tlił się jeszcze żar z poprzedniego ognia i Tupra z łatwością go rozniecił, zauważyłem, że ogrzewanie jest słabe, na pewno rozmyślnie albo dla oszczędności, wielu Anglików w ten sposób ogranicza wydatki, nawet ci nadziani. A zatem Tupra miał służbę lub nie mieszkał zupełnie samotnie w swoim dwupiętrowym domu znajdującym się istotnie w Hampstead, dzielnica była niemal luksusowa, a co najmniej zamożna, może zarabiał dużo więcej, niż sądziłem (co nie znaczy, że wcześniej jakoś specjalnie się nad tym zastanawiałem), był przecież tylko urzędnikiem, chociaż bardzo wysokiego szczebla, powątpiewałem zresztą, czy to wysoki szczebel. Może zatem dom nie należał do niego, lecz do Beryl i zawdzięczał go swemu nie rozwiązanemu jeszcze małżeństwu, a może pierwszemu małżeństwu i zyskownemu rozwodowi. Wheeler napomknął mi swego czasu, że Tupra był dwukrotnie żonaty i że Beryl zamierzała do niego wrócić, bo odkąd przeprowadzili separację, jej sytuacja wcale się nie poprawiła. Albo Tupra, oprócz znanej mi profesji, miał też inne źródła dochodów, może premie uzyskiwane w pracy („częste miłe niespodzianki, świadczenia w naturze”, wedle słów Petera) znacznie przekraczały moje wyobrażenia. Nie chciało mi się wierzyć, żeby odziedziczył taki dom po pierwszym

brytyjskim Tuprze, a nawet po drugim z kolei, pierwszy albo drugi musiał być imigrantem z jakiegoś niskiego rangą kraju. Choć kto wie, może dziadek lub ojciec zakrzętnęli się energicznie i szybko zbili fortunę, wszystko możliwe, może na brudnych interesach, na lichwie lub na operacjach bankowych, co wychodzi na to samo, takie fortuny pojawiają się nagle, są jak błyskawica, z tą wszakże różnicą, że pozostają i rosną, a może tamci pierwsi Tuprowie wżenili się w duże pieniądze, mało to prawdopodobne, chyba że już oni wiedzieli, jak postępować z kobietami, by nie mogły im się oprzeć, i tę właśnie wiedzę przekazali w spadku swemu potomkowi.

Znajdowaliśmy się w przestronnym salonie, niejedynym w tym domu (z korytarza widziałem inny, a może był to pokój do gry w bilard, stał w nim stół przykryty zielonym suknem), był gustownie umeblowany, z eleganckimi dywanami, z bardzo drogimi regałami (potrafię to ocenić) dźwigającymi drogocenny księgozbiór (to potrafię dostrzec z daleka i na pierwszy rzut oka), na ścianie dostrzegłem jedno niewątpliwe płótno Stubbsa przedstawiające konie, jeden wielkich rozmiarów obraz ze sceną z dawnego eleganckiego kasyna, w Baden-Baden albo w Monte Carlo, prawdopodobnie pędzla Jeana Bérauda, i drugi, skromniejszych rozmiarów, możliwe, że autorstwa De Nittisa (na tym też się znam), scenę rodzajową w parku z końmi czystej krwi w głębi, nie wyglądały mi na reprodukcje. Ktoś tutaj musiał znać się na malarstwie albo ktoś znał się dawniej, jakiś miłośnik wyścigów konnych lub zakładów w ogóle, a mój gospodarz pasjonował się oczywiście wyścigami, był też kibicem piłkarskim, a przynajmniej kibicował Niebieskim z Chelsea. Nie trzeba mieć na koncie milionów funtów ani euro, żeby sprawić sobie takie obrazy, trzeba jednak dysponować nadwyżką pieniędzy, a przynajmniej mieć pewność ich dalszego napływu po każdym

ekstrawaganckim wydatku. Swoim klimatem ten dom pasował bardziej do zamożnego dyplomaty albo wybitnego profesora, który nie żyje jedynie z profesorskiej pensji – jednego z tych, którzy swą pracą nie tyle chcą zarabiać na życie, ile na uznanie – niż do pracownika wojska skierowanego do wykonywania pewnych ciemnych i bliżej nieokreślonych zadań cywilnych, trudno było nie pamiętać, że inicjały MI6 i MI5 oznaczają Military Intelligence; i wtedy przyszło mi na myśl, że Tupra może mieć wysoki stopień wojskowy, pułkownika albo majora, a może komandora jak Ian Fleming i jego bohater Bond, szczególnie jeżeli wywodził się z marynarki, z dawnego OID, Operational Intelligence Centre, które wedle Wheelera wydało najlepszych ludzi, albo z NID, *Naval Intelligence Division*, której to pierwsze jest częścią, powoli zgłębiałem i poznawałem organizację i rozkład owych służb, korzystając z książek, które Tupra trzymał u siebie w gabinecie, a ja od czasu do czasu je kartkowałem, gdy zostawałem do późna w budynku bez nazwy bądź gdy przychodziłem wcześniej rano, chcąc przygotować czy uzupełnić jakiś raport, i bywało, że natykałem się wówczas na młodą Pérez Nuix, jak wyciera sobie piersi ręcznikiem, bo spędziła noc w budynku albo tak mi tylko mówiła.

Utkwiłem zmęczony wzrok w rozpalonym przez Reresby'ego ogniu, który niemało przyczyniał się do tego, że salon stawał się miejscem jak z bajki, miejscem zaczarowanym, pamięć podsunęła mi obraz Londynu bardziej gościnnego, w istocie nie tak często spotykanego, chociaż – jak by tu powiedzieć – niezupełnie nieistniejącego, czyli Londynu z domem rodziców Wendy w disneyowskiej wersji „Piotrusia Pana”, ten dom miał kwadratowe szybki w oknach podzielonych drewnianymi listwami polakierowanymi na biało i białe także regały na książki, oprawy kominków i ciche pokoiki na poddaszu, albo ja tak zapamiętałem to miejsce oglą-

dane w ciemności w dzieciństwie, filmy rysunkowe tak bardzo krzepiące, że chciało się w nich zamieszkać na zawsze. Tak, dom Tupry był wygodny i ciepły, takie domy pomagają zapomnieć o wszystkim i odprężyć się, miał w sobie także coś z domu profesora Higginsa, którego w „My Fair Lady” grał Rex Harrison, chociaż tamten znajdował się przy Marylebone, a dom Wendy chyba w Bloomsbury, Tupra zaś mieszkał w Hampstead, bardziej na północy. Możliwe, że potrzebował takiego spokojnego, kojącego miejsca jako zadośćuczynienia i żeby odgrodzić się od własnych działań, nakładających się jedne na drugie, ciemnych, a nawet gwałtownych, może jego cudzoziemskie pochodzenie niskiego stanu albo z Bethnal Green czy innej przygnębiającej dzielnicy kazało mu zapragnąć otoczenia tak radykalnie odmiennego od brudu i nędzy, o których tyle się czyta w powieściach dla dzieci, jeżeli ich autorem jest Barrie, i dla dorosłych, jeśli wyszły spod pióra Dickensa, z całą pewnością widział film na podstawie książki tego pierwszego, dramaturga, bo widziały go wszystkie dzieci w naszych czasach w każdym kraju naszego świata, ja go widziałem dziesiątki razy w kraju mego dzieciństwa.

Sięgnął po jeden ze swoich egipskich papierosów i poczęstował mnie, był teraz gospodarzem i bądź co bądź o tym pamiętał, zaproponował mi również kieliszek alkoholu, ale na razie odmówiłem, on nalał sobie porto nie ze zwykłej butelki, lecz z takiej z medalionem zawieszonym na szyjce, podobnej do butelek, jakie zgodnie z ruchem wskazówek zegara z gracją podawali sobie biesiadnicy (nigdy tych butelek nie brakło, zawsze było kilka) przy kolacjach *high tables* w porze deserów, w dawnych oksfordzkich czasach bywałem zapraszany przez kolegów na takie kolacje, może jego oksfordzcy koledzy wciąż jeszcze przysyłałi mu faszki wyśmienitego porto wytwarzanego na własne potrzeby, w sklepie się takiego nie uświadczy. Nie śledziłem, ile Tu-

pra pił owego ciągnącego się w nieskończoność wieczoru, który jeszcze nie dobiegł końca, ale przypuszczałem, że nie mniej niż ja, a ja już nie miałem ochoty albo siły wypić ani kropli więcej, wydawało się, że alkohol na niego nie działa lub nie sposób było to zauważyć. Nie z nadmiernej ilości wypitego alkoholu wzięto się jego wcześniejsze sterroryzowanie, sponiewieranie albo pobicie De la Garzy, działał wtedy precyzyjnie i metodycznie. Ale kto wie, może istotnie skutkiem nadmiaru alkoholu była decyzja o zademonstrowaniu De la Garzy rozmaitych wariantów jego śmierci, a potem pozostawienie przy życiu nas obu, De la Garzy i mnie, żebyśmy na zawsze je sobie zapamiętali, rzadko kiedy postanowienie zrobienia czegoś i dokonanie tego zbiegają się w czasie, nawet jeżeli następują natychmiast po sobie i sprawiają wrażenie równoczesnych, może postanowił tak zrobić, gdy umysł miał jeszcze zmacony alkoholem, był w amoku, później w głowie mu się rozjaśniło i uspokoił się w trakcie tych kilku minut, kiedy to ja czekałem na niego z naszą niczego nie podejrzewającą ofiarą w toalecie dla kalek, zwaбіłem tam De la Garzę kłamstwem i fałszywą obietnicą, że dostanie działkę koki, jakkolwiek sam też wówczas nie wiedziałem, po co go zabieram, znaczy ofiarę, tam gdzie Tupra mi każe, i że ta obietnica jest tylko pretekstem. Powinienem być na to wpaść, powinienem był to przewidzieć. Powinienem być odmówić. Przygotowałem delikwenta Tuprze, podałem mu go na tacy, sam miałem w tym wszystkim udział. Teraz chciałem zapytać go z czystej ciekawości: „Czy to, co dałeś wtedy temu nieszczęśnikowi, to naprawdę była koka?”. Ale jak to bywa po długich chwilach ciszy, obaj zaczęliśmy mówić równocześnie, on o ułamek sekundy wcześniej, odpowiadając na moje uprzednie słowa:

– Och tak. Oczywiście – mruknął Resesby jakby z rozleniwieniem. – Zawsze znajdzie się ktoś, kto samemu sobie

przygląda się na scenie, kto jakby widział siebie w trwającym ciągle przedstawieniu. Kto uważa, że będą świadkowie, którzy opowiedzą o jego szlachetnej albo nikkczemnej śmierci, i że to właśnie najbardziej się liczy. Albo kto wyobrazi sobie świadków, gdy ich nie ma: oko Boga, scenę światową, cokolwiek. Kto uważa, że świat istnieje tylko w takim stopniu, w jakim jest zrelacjonowany, a fakty tylko wtedy, gdy zostaną opowiedziane, choćby było mało prawdopodobne, że ktoś zada sobie trud ich opowiedzenia albo opowiedzenia tych konkretnych faktów, to znaczy dotyczących każdego z osobna. Ogromna większość rzeczy tylko się wydarza i nie ma ani nigdy nie było ich rejestru, to, o czym się dowiadujemy, to nieskończenie mała część tego, co się wydarzyło. Życie większości ludzi, nie mówiąc już o śmierci, od swego początku jest zapomniane i nie pozostaje po nim najmniejszy ślad albo popada w zapomnienie po krótkim czasie, po kilku latach, dziesięcioleciach, wieku, to w gruncie rzeczy krótki czas, sam wiesz. Weźmy na przykład bitwy, bardzo ważne dla tych, którzy je wydali, a czasem i dla ich rodaków, nazwy wielu z nich nic nam dzisiaj nie mówią, dzisiaj nie wiemy nawet, do jakiej przynależały wojny, i nic nas to nie obchodzi.. Czy coś dziś mówią nazwy takie, jak Ulundi czy Beer Szewa albo Gravelotte i Rezonville, albo Namur, albo Maiwand, Paardeberg i Mafeking, albo Mohacz, albo Nájera? – Tej ostatniej nazwy nie wymówił we właściwy sposób. – Ale wielu się temu sprzeciwia, nie potrafią pogodzić się z tym, że są nieważni albo niewidzialni, znaczy wtedy, gdy już umrą i staną się przeszłością, gdy już ich nie będzie, żeby stanąć w obronie swego istnienia, żeby krzyknąć: „Hej, jestem tu. Mogę interweniować, mam wpływ, mogę zrobić coś dobrego albo wyrządzić krzywdę, ocalić albo zgubić, a nawet zmienić bieg świata, ponieważ jeszcze nie zniknąłem”. – Wciąż jestem, a więc na pewno

byłem, pomyślałem bądź przypomniałem sobie, że pomyślałem tak, wycierając czerwoną plamę na schodach u Wheelera i jej obwódkę, która nie chciała zejść (jeżeli w ogóle była tam plama, wątpiłem w to coraz bardziej), jak bardzo rzeczy i ludzie starają się, byśmy nie mogli powiedzieć: „Nie, tego nie ma, nigdy nie było, nie przemierzyło świata, nie postawiło stopy na ziemi, nie istniało i nigdy się nie zdarzyło”. – Ci wspomniani przez ciebie ludzie – ciągnął Reresby, wzięwszy jakiś dziwny zamach, aby wstać – niewiele się różnią od Dicka Dearlove’a wedle twojej interpretacji jego osoby. Cierpią na strach narracyjny lub horror narracyjny, chyba tak to nazwałeś, jeśli dobrze pamiętam. Boją się, że sposób, w jaki zakończą życie, wszystko splami i zdyskredytuje, jakieś późne albo ostatnie zdarzenie rzuci cień na całe wcześniejsze życie, przysłoni je, unieważni: żeby potem nikt nie powiedział, że nie udzieliłem pomocy, że nie naraziłem się dla innych albo nie poświęciłem dla swoich, rozważają najbardziej absurdalne sytuacje, chociaż nikt nie może ich zobaczyć albo ci, którzy ich widzą, czyli zasadniczo oni sami, zaraz umrą. Żeby nie mówiono, że stchórzyłem, zachowałem się bezdusznie, jak jakieś ścierwo, jak morderca, myślą, czując na sobie światło reflektorów, gdy tymczasem nikt nie kieruje na nich reflektorów ani nie zamierza o nich mówić, bo są mało ważni. Są anonimowi za życia i będą anonimowi po śmierci. Jakby nigdy nie istnieli. – Umilkł na chwilę, pociągnął łyk porto i dodał: – Ty i ja tacy będziemy, nie zostawimy po sobie śladu, cokolwiek byśmy zrobili, nikt nie zada sobie trudu, żeby o tym opowiadać, a nawet żeby się tego dowiedzieć. Nie wiem jak ty, ale ja nie zaliczam się do tego typu osobników, takich jak Dearlove, nawet jeśli nie są osobami sławnymi, jak on, lecz wprost przeciwnie. To o nich mówiłeś. O takich, którzy cierpią na kompleks K-M wedle naszej terminologii, na jakąś jego odmianę. – Przerwał,

spojrzał z ukosa na ogień i dodał: – Ja wiem, że jestem niewydzialny i że tym bardziej będę taki po śmierci, gdy stanę się już tylko minioną materią. Niemą materią.

– K-M? – zapytałem, zbywając milczeniem te ostatnie proctwa albo przepowiednie. – Co to znaczy? Zabijanie-Mordowanie? – Mówiliśmy po angielsku, w języku obowiązkowym w rozmowach z Tuprą, więc powiedziałem „*Killing-Murdering*”, bo zgadzały się inicjały.

– Nie, chociaż mogłoby, nie przyszło mi to wcześniej do głowy – odparł Tupra, uśmiechając się leciutko w obłoku dymu. – To skrót od Kennedy-Mansfield. Przy tym drugim nazwisku uparł się Mulryan, zawsze go fascynowała aktorka Jayne Mansfield, od dzieciństwa była jego idolką, przekonywał nas, że przetrwa w zbiorowej pamięci, i to nie tylko z powodu swej szczególnej śmierci, pomylił się na całej linii. Rzeczywiście marzył o niej każdy chłopak albo podrostek. I każdy kierowca ciężarówki. Pamiętasz ją? Pewnie nie pamiętasz – ciągnął, nie dając mi czasu na odpowiedź – co tym bardziej dowodzi, że nazwanie tego kompleksu literą M było niewłaściwe i nieuzasadnione, i na wyrost. Ale cóż, tak go nazywamy od dłuższego czasu, przyzwyczailiśmy się, przyjęliśmy to określenie niemal wyłącznie na użytek wewnętrzny. Jakkolwiek, choć trudno w to uwierzyć – poprawił się od razu – używają go też różni wysocy rangą urzędnicy, zarazili się od nas, znalazłem je nawet w jakiejś książce.

– Wydaje mi się, że pamiętam Jayne Mansfield – wtrąciłem, korzystając z malutkiej przerwy.

– Ach tak? – zdumiał się Tupra. – Cóż, jesteś w odpowiednim wieku, ale nie byłem pewien, czy w twoim kraju puszczały takie frywolne filmy. To znaczy w czasach dyktatury.

– Tylko od filmów nie byliśmy odcięci. To była jedyna dziedzina. Franco je uwielbiał, w pałacu El Pardo, gdzie mieszkał,

miał własną salę kinową. Mogliśmy oglądać niemal wszystkie z wyjątkiem nielicznych, zakazanych stanowczo przez cenzurę (oczywiście nie dla Franco; on, tak samo jak księża, lubił oglądać skandalizujące filmy i dumać nad niegodziwością zewnętrznego świata, przed którą nas ochraniał). Niektóre puszczały w wersji przyciętej albo z dialogami zmienionymi w dubbingu, ale większość wchodziła na ekrany. Tak, zdaje mi się, że przypominam sobie Jayne Mansfield. Nie mam teraz przed oczyma jej twarzy, pamiętam jednak, jak wyglądała w ogólnym zarysie. Platynowa blondynka, zmysłowa, zaokrąglone kształty, mam rację? Grała w komediach w latach pięćdziesiątych, a może sześćdziesiątych. Dosyć cycata.

– Dosyć? Wielkie nieba, wcale jej nie pamiętasz, Jack. Czekał, pokażę ci zabawne zdjęcie, mam je tu, pod ręką. – Znalezienie zdjęcia zajęło tylko chwilę. Tupra wstał, podszedł do regału, poruszył palcami, jakby wstukiwał kombinację otwierającą sejf, i wyjął z półki coś, co wyglądało na opasły tom, a okazało się drewnianą skrzynką, nie metalową, udającą książkę. Położył ją na płask, otworzył i chwilę szperał wśród schowanych tam listów, ciekawe, od kogo były, skoro tak dobrze wiedział, gdzie ich szukać i trzymał je tak pod ręką. W trakcie szukania strząsnął jakby nigdy nic popiół na dywan, stukając palcem wskazującym o ustnik Ramesesa II. Miał w domu służbę, to pewne. Na stałe. W końcu ostrożnie wyjął z koperty pocztówkę, kciukiem i środkowym palcem w charakterze szczypiec, pokazał mi ją z bliska. – Oto i ona. Popatrz. Teraz lepiej ją sobie przypomnisz, bez cienia niejasności. Ona w jakiś sposób nie daje się zapomnieć, szczególnie jak się ją odkryło w chłopięcym wieku. Można zrozumieć fascynację Mulryana. Nasz przyjaciel musi być bardziej lubieżny, niż na to wygląda. Z pewnością prywatnie. Albo swego czasu taki był – dodał.



Wzięłem czarno-białe zdjęcie tak samo palcami, jak wyjął je Tupra, i rzeczywiście, od razu się roześmiałem, gdy tymczasem Tupra mówił o nim słowami podobnymi do moich myśli. Dwie słynne swego czasu aktorki, po lewej stronie zdjęcia Sofia Loren, a po prawej Jayne Mansfield – jej twarz wynurzyła się z niepamięci, gdy tylko ją ujrzałem – siedzą razem przy stole, jedna obok drugiej, w trakcie kolacji, może przed jej rozpoczęciem albo już przy deserach (trochę zbijają z tropu wielkie filizanki). Włoszka, nigdy przesadnie płaska, a wprost przeciwnie, raczej wybujiała – ona też była marzeniem wielu, i to przez długi czas – ma sukienkę z umiarkowanym dekoltem i zerka z ukosa – widać źrenice, nad którymi nie jest w stanie zapanować – jakby z mieszaniną zazdrości, zdumienia i strachu, a może z pełnym niedowierzaniem niepokojem, na dużo bardziej obfite i bardziej odsłonięte piersi amerykańskiej koleżanki, naprawdę ponętne i przykuwające uwagę (w porównaniu z nimi biust Loren wydaje się skromniutki), tym bardziej w czasach, w których operacyjne ich powiększanie było mało prawdopodobne, a co najmniej nieczęste. Piersi Mansfield, na ile można to ocenić, wyglądają naturalnie, nie są sztywne ani twarde, lecz przyjemnie miękkie, łatwo sobie wyobrazić ich falowanie (Jaka szkoda, że dzisiejszego wieczoru nie trafiły mi się właśnie takie zamiast granitów Flavii, przemknęło mi przez myśl), musiały wywołać poruszenie w owej restauracji, rzymskiej albo amerykańskiej, trudno zgadnąć, kelner widoczny w głębi, między obiema aktorkami, zachowuje godną uznania obojętność, choć widać tylko jego postać, twarz pozostaje w cieniu i można się zastanawiać, czy nie używa swej białej serwetki jak tarczy lub ekranu. Z lewej strony Mansfield siedzi jakiś mężczyzna, widać jedynie dłoni trzymającą łyżkę, jego oczy musiały zezować w prawą stronę, tak jak oczy Loren zezowały w lewą, z inną zapewne poządlivo-

ścią. W odróżnieniu od Loren platynowa blondynka spogląda wprost w obiektyw z serdecznym, trochę sztucznym uśmiechem i jeśli nie beztrasko – dobrze wie, co pokazuje – to z całkowitym spokojem: w Rzymie to o niej się mówi (jeżeli istotnie znajdują się w Rzymie), przyćmiła miejscową gwiazdę, zrobiła z niej świętoszkę. I ja mam wspomnienie z dzieciństwa związane z tą kobietą o ładnych rysach twarzy, z Jayne Mansfield, a łączy się z nim tytuł filmu „Szeryf i blondynka”: wielkie usta i wielkie oczy, cała była wielką pospolitą pięknoscią. W każdym razie dla chłopca; dla niejednego dorosłego jak ja także.

Tak mówił Tupra, a i ja tak myślałem podczas jego wyjaśnień. Co chwila wybuchał krótkim śmiechem, bawiło go zdjęcie i ta sytuacja, bo i naprawdę były zabawne.

– Mogę spojrzeć, jaki nosi tytuł? Mogę zerknąć na odwrotną stronę? – zapytałem, nie chciałem patrzeć bez pozwolenia, co napisał na odwrocie ktoś, kto swego czasu mu je przysłał.

– Jasne. Śmiało – odpowiedział z zachęcającym gestem.

Nie było to nic godnego uwagi ani pomysłowego, ani dowcipnego, napis na odwrocie informował jedynie „Loren & Mansfield”, The Ludlow Collection, to w każdym razie dostrzegłem, nie starałem się przeczytać słów nabazgranych flamastrem – dwóch albo trzech zdań podziwu jakiegoś żartownisia – możliwe, że kobiecą ręką, duże raczej okrągłe litery, mój wzrok padł przez sekundę na podpis, zaledwie inicjał: „B”, mógł oznaczać Beryl, a także na słówko „*fear*”, czyli po angielsku „strach”. Kobieta z poczuciem humoru, jeżeli istotnie przysłała mu to kobieta. Właściwie z niecodziennym poczuciem humoru, rzadko spotykanym, ponieważ takie zdjęcie wywołuje rozbawienie wśród mężczyzn, to dlatego roześmiałem się ochoczo na widok bojaźliwego żurawia zapuszczanego przez Sofię Loren, jej obawy i zazdrości wobec zwycięskiego i wzbudzającego popłoch

transatlantyckiego dekoltu, śmialiśmy się z Reresbym unisono, śmiech połączył nas bezinteresownie podobnie jak wtedy u niego w gabinecie, gdy mówiłem o hipotetycznych sabotach pewnego lokalnego tyrana pochodzącego z wyborów, popartego głosami, oraz o jego patriotycznej koszuli w gwiazdy, w której widziałem go w telewizji, i gdy powiedziałem „liki-liki”, komiczne słowo, którego nie można nie powtórzyć, jak się je gdzieś usłyszy albo przeczyta: liki-liki po prostu. Zastanawiałem się wtedy, myśląc o śmiechu, który rozbija, połączonym śmiechu nas obu, kto w przyszłości zostanie nim rozbrojony: on, ja, a może obaj? Teraz zdałem sobie sprawę, że tym razem rozbrojony zostałem ja.

Ma facet jaja, pomyślałem z irytacją w prymitywnym stylu De la Garzy, dopiął swego: śmieję się beztrudnie w jego towarzystwie. A jeszcze przed chwilą byłem na niego wściekły i w zasadzie nadal jestem, tak szybko mi nie przejdzie; chwilę wcześniej byłem świadkiem jego brutalnego zachowania, bałem się, że metodycznie z zimną krwią zabije pewnego nieszczęśnika, że potnie go na plasterki bez istotnej przyczyny, jeśli w ogóle może być jakaś po temu przyczyna; że udusi De la Garzę, posługując się jego własną żalonną siatką na włosy, że go utopi w niebieskiej wodzie; i widziałem z bliska, jak go pobił, a zadając ciosy, ani razu nie użył własnych rąk, mimo że miał na nich groźnie wyglądające rękawiczki. Tupra o tych rękawiczkach nie zapomniał: pierwsze, co zrobił po roznieceniu ognia, to wyjął je z kieszeni płaszcza i cisnął w płomień razem z kawałkami papieru toaletowego, w który były owinięte. Śwąd palonej skóry i wełny dało się wreszcie poczuć, ale dominował nad nim zapach palącego się drewna, musiały już znacznie wyschnąć, odkąd wyszliśmy z łazienki dla niepełnosprawnych, „Śwąd szybko się ulotni”, powiedział rzucając je niemal machinalnym ruchem, tak jak się odkłada klucze albo monety po powrocie do domu. Trzymał rękawiczki schowa-

ne do chwili, kiedy będzie mógł je zniszczyć, nie umknęło to mojej uwadze, w dodatku we własnym domu. Był ostrożny nawet wówczas, gdy nie musiał. A teraz proszę, z całkowitym spokojem pokazuje mi zabawne zdjęcie i wesoło o nim opowiada. (Miecz wciąż jest w płaszczu. Kiedy zamierza go wyjąć? Kiedy go schowa?) I ja jestem spokojny, widząc komizm tej scenki i śmiejąc się razem z nim, o tak, to sympatyczny facet, w pierwszej i w przedostatniej chwili, nic na to nie możemy poradzić, że dobrze się dogadujemy, lubimy się nawzajem. (Nie był taki miły w chwili ostatniej, ale ta na ogół nie następowała, chociaż owego dnia nastąpiła.) Szybko wróciłem myślami wstecz (zawsze coś, chociaż niewiele jak na odzyskane właśnie uczucie złości), żeby uświadomić sobie, dlaczego pokazał mi tę pocztówkę. Zapomniałem na kilka chwil, co tam robi to zdjęcie, co on i ja tam robimy. To nie była noc do śmiechu, a przecież śmialiśmy się pospołu krótko po jego przemianie w Sir Punishment. Albo w Kawalera Zemstę, może w Sir Revenge. Ale jeśli zmienił się wcześniej w tego ostatniego, to za co się mścił? Zachował się tak skrajnie, tak drastycznie. I dlaczego? Z powodu głupstwa, błażostki.

Zwróciłem mu pocztówkę, stał przy moim fotelu, patrząc mi przez ramię, jak oglądam obie aktorki albo dwa minione symbole seksu – jeden znacznie bardziej miniony niż drugi – dzielając, a raczej obserwując moją nieoczekiwaną wesołość.

– O co chodzi z tą Jayne Mansfield? – spytałem. – Co ona ma wspólnego z Kennedym? Z prezydentem Kennedym, jak rozumiem. Ona też była jego kochanką? Czy to nie o Marilyn Monroe się mówi, że miała z nim romans i jeszcze zaśpiewała mu jakąś zmysłową wersję „Happy Birthday”? Mansfield musiała być jakąś jej podróbką, co?

– O tak, było takich kilka – odparł Tupra, wkładając zdjęcie do koperty, kopertę do pudełka, a pudełko na półkę, wszystko

po kolei. – Jedną mieliśmy nawet u siebie, w Anglii, nazywała się Diana Dors. Pewnie jej nie pamiętasz. Była przeznaczona niemal wyłącznie do konsumpcji krajowej. Z wyglądu bardziej zgrzebna, chociaż nie była z niej brzydula ani zła aktorka, miała dość prymitywny wyraz twarzy i zbyt ciemne brwi w stosunku do platynowych blond włosów, nie wiem, dlaczego nie ufarbowała wszystkiego na taki sam kolor. Poznałem ją, gdy była już po czterdziestce; zaglądaliśmy do tych samych lokali w Soho bardzo modnych wtedy, pod koniec lat sześćdziesiątych i na początku siedemdziesiątych, powoli robiła się z niej matrona, ale zawsze pociągała ją styl życia bohemy, uważała, że ją odmładza, czyni bardziej nowoczesną. Tak, była bardziej zgrzebna niż Mansfield, a też trochę bardziej ponura, nie tak radosna – dodał, jakby przez chwilę to rozważał. – Ale gdyby i ona siedziała przy tym stole na pocztówce, to nie wiem, kto byłby najbardziej zaskoczony. W młodości Diana Dors miała figurę w kształcie klepsydry. – I wykonał rękami dobrze znany ruch, który dawniej często robili mężczyźni, żeby oddać kobiecie krągłości, myślę, że butelka coca-coli jest imitacją tego ruchu, nie na odwrót. „*She had an hourglass figure*”, powiedział Tupra po angielsku. Dawno już nie widziałem, żeby ktoś kreślił ten kształt w powietrzu, no cóż, gesty, podobnie jak słowa, również wychodzą z użycia, bo niemal zawsze są ich substytutem, dzielą zatem ten sam los: są sposobem na powiedzenie czegoś bez słów, bywa, że czegoś bardzo poważnego, co w przeszłości mogło doprowadzić do pojedynku, a i dzisiaj może sprowokować przemoc i śmierć. Tak więc nawet gdy nic się nie mówi, można nadal mówić i podawać do wiadomości, i opowiadać, prawdziwe przekleństwo; gdybym w obecności Manoi poklepał się ze dwa, trzy razy grzbietem dłoni od spodu w podbródek, on odebrałby to jako włoski gest pogardy lub lekceważenia z mojej strony wobec siebie i dobyłby na mnie swego miecza, zakładając, że on też

nosi jakiś przy sobie, w ukryciu, całkiem możliwe, w porównaniu z nim Reresby wydawał się oazą rozsądku i łagodności.

Tak, Tupra zabawiał mnie anegdotami, rozmową – a może była to zwykła gadka szmatka? Nadal byłem wściekły, mimo że chwilami o tym zapomniałem, nadal pragnąłem mu to okazać, zażądać wyjaśnień z powodu jego barbarzyńskiego zachowania, zrobić to jak należy i bardziej serio niż podczas naszego niedoszłego pożegnania na placu przed moim domem, on jednak prowadził mnie od jednej sprawy do kolejnej, nie zatrzymując się dłużej na żadnej, nigdy nie przechodząc do tego, co wcześniej zapowiedział, że usłyszę, wręcz domagał się, żebym tego wysłuchał, powątpiewałem, że kiedykolwiek powie mi coś na temat Konstantynopola albo Tangeru, te właśnie miejsca wspominał wcześniej, siedząc za kierownicą swego samochodu, wyspecjalizował się w historii średniowiecznej, kto by przypuszczał, w Oksfordzie i w tej dziedzinie faktycznie mógł być nieformalnym uczniem Toby'ego Rylandsa, który wbrew sobie pozostawał przez pewien czas Tobym Wheelerem w swojej dalekiej i zapomnianej Nowej Zelandii, mógł być także uczniem jego brata Petera. Tupra obiecał pokazać mi także jakieś nagrania wideo przechowywane w domu, nie w biurze, „nie są przeznaczone dla każdego”, powiedział, mnie natomiast chciał je pokazać, co na nich było i dlaczego miałem je obejrzeć? – możliwe, że wolałbym nigdy ich nie oglądać; zawsze mogłem zamknąć oczy, aczkolwiek ilekroć postanawiasz to zrobić, nieuchronnie zamykasz je trochę za późno, za późno, by czegoś nie dostrzec i nie pojąć, jakie straszne rzeczy się dzieją, za późno, żeby nie zrozumieć. Albo kiedy masz oczy mocno zaciśnięte, myślisz sobie, że ten widok lub ta scena już się skończyły, gdy tymczasem wcale tak nie jest – dźwięk jest zwodniczy, a jeszcze bardziej zwodnicza jest cisza – i wtedy otwierasz oczy za wcześnie.